MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII NR 51 WARSZAWA 27 LISTOPADA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

PRZEWRÓT SPOŁECZNY W EUROPIE

PO POWROCIE z Niemiec i Włoch spotkałem się niezliczoną ilość razy z zapytaniem — czy rządy Mussoliniego i Hitlera są trwałe? Inni, pytając, dawali sami odpowiedź— czy dużo jeszcze czasu upłynie do upadku „dyktatorów" w Berlinie i w Rzymie i do zawalenia się państw „totalistycznych"?

W podobnych pytaniach i w podobnych odpowiedziach ujawnia się zupełne niezrozumienie tego, co się dzieje w Europie współczesnej. Ludzie przypuszczają, że przy pomocy siły zapanowali tam „dyktatorzy", którzy usiłują zmusić narody do przyjęcia ich doktryny i do życia według zasad, które są sprzeczne z naturą. Wszystko to musi się skończyć powrotem do dawnych „dobrych" i „mądrych" przedwojennych czasów, gdy Europa szła ku integralnej demokracji i panowania liberalizmu.

Nic podobnego! Nie „dyktatorzy" i nie „doktryny" są źródłem nowych stosunków w Europie, lecz fakt historyczny dokonywującego się całkowitego przewrotu społecznego. Ażeby być całkiem jasnym wypowiem tezę, która niejednemu wyda się czemś zgoła fantastycznem. Powiem mianowicie, że istnieje zupełna analogia między tem, co się stało w Rosji a tem, co się dokonało w Niemczech i we Włoszech. I tu i tam została usunięta od rządów dawna warstwa kierownicza (elita — jeśli kto woli), a przyszła warstwa nowa. W Rosji dawną elitę mniej lub więcej usunięto przez wyprawienie jej na tamten świat; we Włoszech i w Niemczech grają jej przedstawiciele już tylko rolę ekspertów i fachowców, rządzą przedstawiciele warstwy nowej, powiedzmy odrazu dobitnie i wyraźnie — warstwy ludowej.

To właśnie stanowi istotę rewolucji społecznej, jaka się dokonała w krajach położonych na zachód od nas; rewolucja ta zaś jest koniecznym i logicznym wynikiem procesu demokratyzacji, jaki się odbył w wieku XIX w Europie. Zrozumienie: iż jestem świadkiem następstw doniosłego faktu historycznego — dojścia do władzy nowej grupy kierowniczej, wyrosłej z młodej warstwy społecznej, powstało z całą wyrazistością w moim umyśle, gdy patrzyłem w Norymberdze i w Veronie na te masy ludzkie, jakie się gromadziły, by słuchać „dyktatorów" i brać udział w manifestacjach nowych dążeń społecznych. Były to masy ludowe!

Jest jednak różnica między przebiegiem i wynikami rewolucji społecznej w Rosji i w państwach zachodnich. W Rosji rząd nowej elity jest oparty na ideologii marksistowskiej, we Włoszech i w Niemczech na ideologii narodowej.

Tajemnicą powodzenia i wiekopomną zasługą Mussoliniego, Hitlera, czy Salazara nie tylko dla krajów, w których rządzą, lecz także dla całej kultury i cywilizacji europejskiej jest to, iż potrafili nowym obejmującym rządy warstwom dać ideologię nacjonalistyczną, co nie jest niczem innem jak nawiązaniem tradycji z przeszłością i zachowaniem tych zasad w życiu współczesnem, na których oparła się cywilizacja europejska i dzięki którym Europa posiadła prymat w świecie.

Ten fakt, iż nowe warstwy, obejmując rządy w państwach Europy zachodniej, wyznają ideologię narodową, jest ratunkiem dla cywilizacji nowej w okresie dokonywującego się głębokiego przewrotu. Ludzie, którzy są tego faktu sprawcami, zasłużyli sobie na wdzięczność wszystkich przyszłych pokoleń.

Jest rzeczą jasną i zrozumiałą, ze wysunięcie się nowych warstw na powierzchnię życia publicznego ma nie tylko dobre, lecz i złe następstwa, i to było i jest nieuniknione, bo to wypływa z natury rzeczy. Nowe warstwy, nie mające tego wiekowego doświadczenia w kierownictwie sprawą publiczną, muszą wykazywać pewną pierwotność, muszą ujawniać instynkty takie, jakie rządziły ludami Europy w okresie, kiedy osiedlały

się one na ziemiach krajów europejskich. Z tego wynika, że zarówno formy ustrojowe, jak metody polityczne, oraz kształt życia społecznego i gospodarczego nie mogą być w nowej Europie takie, jakie były w Europie XIX wieku.

Widzimy też, że wszystkie kształty życia społecznego, gospodarczego, i politycznego i narodowego w Europie rodzącej się przed naszemi oczyma są inne, niż były przed wojną jeszcze, w Europie XIX wieku. Jeśli ktoś dostrzeże i weźmie to za punkt wyjścia w swym rozumowaniu, że zaszedł f a k t h i s t o r y c z n y r e w o l u c j i s p o ł e c z n e j w Europie, to przestanie sądzić że to, co się dzieje w Niemczech czy we Włoszech jest jakimś epizodem w rozwoju narodów europejskich, jest odchyleniem czasowem, po którem nastąpi powrót po tych „starych dobrych" czasów przedwojennych i przestanie wogóle zadawać sobie pytanie, kiedy upadnie „faszyzm" i „hitleryzm", zacznie natomiast zastanawiać się nad tem ile czasu upłynie do chwili, gdy przewrót społeczny i jego następstwa ogarną wszystkie narody europejskie?

Rodzi się nowa Europa. Te kształty w jakich objawia się nowe życie będą ulegały przeobrażeniom, to na co patrzymy nie jest jeszcze definitywne. Lecz złudzeniem jest marzenie o możliwości powrotu do kształtów dawnych. „Faszyzm" i narodowy socjalizm, będą się przeobrażały, lecz nie zginą i nie ustąpią już miejsca dawnym przedwojennym formom życia w Europie — oto prawda, z którą pogodzić się muszą ci, co tęsknią do przeszłości. Przeszłość ta ginie i nic procesu tego powstrzymać nie jest w stanie.

STANISŁAW KOZICKI

REFLEKSJE CZESKIE

Zbyt pobieżnie i powierzchownie ocenia się u nas całość tego, co stało się z Czechami. Pragnę na ten temat wypowiedzieć kilka refleksyj, luźnych zresztą, nie mających pretensyj do wyczerpania tematu, dążących raczej do wywołania dyskusji.

Jaki użytek zrobili Czesi z broni, która należała do najlepszych na świecie? Nie złożyli się nią, lecz złożyli ją. Zróbmy krótki przegląd czeskich sił zbrojnych. Organizacja wzorowa, stworzona pod kierunkiem znakomitych instruktorów francuskich. I to nie tylko organizacja samego wojska, ale również państwa (z jego gospodarką ogólną, terenami nadgranicznemi, podziałem czynności ministerstw, etc) i narodu. Liczebność wojska imponująca.

Sprawy wywiadowcze, t.j. świadomość stanu gotowości nieprzyjaciół zapewne stojąca bardzo wysoko, dzięki licznym Czechom w Austrii, w Niemczech, na Węgrzech, w Polsce.

Wyszkolenie wojska — o tym wie się niewiele. Obecność dużej ilości oficerów francuskich w Czechach przemawiałaby za dobrym stanem wyćwiczenia. Z drugiej strony zewnętrzny wygląd czeskich żołnierzy — cywilny raczej, co się rzuciło w oczy obserwatorom niemieckim, objaśniałby o niezbyt wysokim poziomie wyszkolenia.

Zaopatrzenie. Niedościgły wzór dla wielu, wielu wojsk w Europie. Broń palna, automatyczna zwłaszcza, najnowszego systemu, w obfitości. Amunicji pod dostatkiem. Mechanizacja i motoryzacja — znakomite. Samoloty bojowe — świetne i liczne. Fortyfikacje — solidne. Duch wojska, o nim się mówi najczęściej i lekceważąco: Wielka ilość nie-Czechów w szeregach, kiepskie tradycje z wojny światowej, brak doświadczenia bojowego, duch „dzielnego wojaka Szwejka", kilkakrotna przewaga nieprzyjaciół w perspektywie, wreszcie zawód ze strony sprzymierzeńców. W sumie wiele złego osaczyło wojskowego ducha Czechów.

Sama sprawa, o którą miano się bić, wypadła widocznie dosyć wątpliwie, duch Czechów i ich wojska załamał się.

Nie można powstrzymać się od zapytania: dlaczego duch wojska czeskiego nie zdołał znaleźć oparcia. Gdzie się podziało serce narodu, bijące najsilniej w piersiach młodzieży? Gdzież się podział instynkt i zachęta kobiet czeskich? Dlaczego oko nie dojrzało, że idzie o coś więcej znacznie, niż oddanie krajów zaludnionych większością Niemców, Węgrów i Polaków; dlaczego ramię nie protestowało?

Zanim się przejdzie do próby odpowiedzi trzeba stwierdzić fakty, a mianowicie: nie doszła Europy ani jedna wieść o proteście zbrojnym czeskim; ani jeden oficer czeski nie popełnił samobójstwa; nie zbuntowano się nigdzie; żaden z potężnych fortów nie próbował samorzutnie się bronić. W Paryżu nie zorganizowały się ochotnicze oddziały czeskie, z przelicznej kolonii czeskiej w Wiedniu nie przedzierali się ochotnicy w celu obrony ojczyzny. A teraz fakty przeciwnego znaczenia: gorączkowy pośpiech w oddawaniu terytoriów, aby prędzej ustalić granice, bo od tego zależy wybór prezydenta i rozpoczęcie nowego życia; złośliwe i mściwe w stosunku do Francuzów wydanie fortów obronnych z tajemnicami francuskiej linii Maginot'a; wreszcie niezrozumiała potrzeba wewnętrzna odcięcia się od przeszłości, aż do zmiany nazwy państwa włącznie: Czechy, Czech, jakby to były słowa pełne wstydu, albo jakby nie istniały; „Wielkie Morawy" („...jak to się dobrze tłomaczy na: „*Great Moravia, Grosse Moravien*"), „*Slavia*" (nie mieszać z klubem sportowym tej samej nazwy).

Wynika z tego, że przyczyn złożenia broni należy szukać tylko w duszy. Pochodzić mogą z braku ducha żołnierskiego (jeżeli unikać wyrażenia pozytywnego), albo z braku wiary w słuszność sprawy, albo z obu powodów równocześnie.

Duch żołnierski Czechów rzeczywiście nie miał zaprawy i unikał jej. Czesi nie chcieli powstań, zresztą mieli do odrobienia wiele najczarniejszej roboty narodowej. Hołdowali doktrynie zdrady sztandarów austriackich i w ten sposób wyrażali swój patriotyzm. Dla nas zdrada chorągwi wojskowej, nawet obcej, pozostawała zdradą nadal. Jeżeliśmy nie mogli ścierpieć wrogiego sztandaru, to szliśmy albo do obozu koncentracyjnego, albo z bronią w ręku przedzieraliśmy się przez fronty. Hańbę poddania się korpusu Dowbora okupiliśmy samobójstwami oficerów,

zmazaliśmy ją częściowym buntem i pomocą udzieloną świetnemu żołnierzowi generałowi Korniłowowi, uwolniwszy go z więzienia. Czesi wydali Kołczaka na rzeź bolszewikom; Czesi wtedy byli potężni, Czesi mogli byli bez przeszkód wywieźć Kołczaka, jak wywieźli jego złoto. Czesi wydali sprzymierzeńca. Jak strasznie mści się hańba, jak straszne skutki pociąga za sobą zaprawa w kierunku przeciwnym, niż tego wymaga ćwiczenie ducha rycerskiego.

Jeżeli z tych porównań wynika, że jesteśmy świetnym żołnierzem, to bynajmniej nie mam zamiaru tego faktu w czymkolwiek (niby dla umiaru) zasłonić. Tak jest i tak trzeba. Ani nie umniejszę w niczem Czechom. Nie mogę, choć i więcej już faktów nie dodam. Sam jeden czyn wydania Kołczaka jest tak potworny, tak nie mający absolutnie w dokumentach historycznych niczego na usprawiedliwienie, na zmniejszenie winy, że sam jeden ten czyn zdolny był poderwać wiarę w ducha żołnierskiego u Czechów i zatruć tego ducha w kilku pokoleniach.

Sądzę, że masowa dezercja z wojska austriackiego zaszkodziła więcej Czechom niż tamtemu wojsku. Dzisiejsze składanie przez nich broni jest poprostu dalszym ciągiem wczorajszej zdrady.

Czesi nawet dla próby nie pokazali swoich pazurów. Zachowali je na inną potrzebę, ale na jaką? Musieli przecież zdawać sobie sprawę, że odbyli powrót do położenia takiego samego niemal, w jakiem znajdowali się przed wojną światową. Do stanu biologicznego, w którym cały wysiłek skupia się w trwaniu i życiu, a wszelkie myśli o misji dziejowej, o szerszej roli na świecie trzeba odłożyć do marzeń. Otóż właśnie, czy skazali się na małość, czy też nie byli jeszcze dorośli do rangi narodu pełnego, który czuje nieodpartą potrzebę życia w pełnych wymiarach?

Pomimo jaknajgorszego duchowego przygotowania Czechów do rozprawy orężnej — nie sposób przypuścić zupełnej małoduszności całego narodu. Raczej trzeba uznać, że przedwcześnie i zbyt duże, przeładowane różnemi „misjami dziejowemi" otrzymali państwo, z którem nie mogli sobie poradzić z braku dostatecznego rozwoju narodowego. Że surowy „*etnos*", bez wykształconego „*etosu*", nie był zdolny do uniesienia zbyt wielkich przeznaczeń.

Jeśli tak było w istocie, to można w czeskiem niepowodzeniu wiele wyrozumieć; można spojrzeć na nich z otuchą i przyklasnąć hasłom „praca i tylko praca", które po klęsce wysunęli. Można nawet łatwiej znieść widok uśmiechniętego pana Benesza, który urękawicznioną ręką wykonuje gest pożegnalny w stronę fotografów.

Jeszcze jedna refleksja końcowa. Mianowicie zupełny brak podobieństwa duchowego Czecha i Polaka nasuwa myśl o „idei wszech-słowiańskiej" i jej szkodliwości, jeśli za treść główną tej idei (jak chcą najzapaleńsi) uważać wspólnotę duchową. Nic nas nie łączy z Czechem pod tym względem, tak samo jak i z Serbem, Bułgarem i Rosjaninem. Z Czechem mamy przynajmniej jedność cywilizacji, z pozostałymi nawet tego nie mamy. Trzeba więc po ostatniej lekcji rozstać się ostatecznie ze złudzeniem „duchowej wspólnoty słowiańskiej", bo jest to po za dziedziną nauki i osobistych wrażeń, pusty dźwięk, który nic nie stwarza, a niekiedy może zmącić rozsądek.

R-k

RÓŻNICE

(NA MARGINESIE KSIĄŻKI MAURICE'A AMOSA p. t. „KONSTYTUCJA ANGIELSKA")

KTO ZNA, kto czytał konstytucję angielską?

Anglia ma *Common Law*, prawo powszechne, niepisane, które ogół uznaje za niemal nietykalną świętość, za najstarszą i najlepszą na świecie konstytucję. Konstytucji pisanej, zasadniczego prawa pisanego, Anglia niema. Są zaledwie drobne jego ułamki.

Książek, poświęconych konstytucji angielskiej jest dużo. Największą reklamę zrobił jej w świecie całym Monteskiusz. Ponieważ jednak prawo zwyczajowe, prawo powszechne, nie jest prawem ściśle, prawniczo i logicznie skodyfikowaną całością, wielu autorow wkłada w konstytucję angielską to, co sami chcą w niej widzieć lub w niej wyczytać. Wielu pisarzy angielskich wręcz twierdzi, że takim poetą, opiewającym nieistniejące zalety angielskiego prawa powszechnego, jest właśnie Monteskiusz.

Konstytucja angielska jest jednak „religią bez dogmatu"—jak słusznie zauważa autor omawianej przez nas książki — z biegiem lat zmienia się i nagina do życia.

Maurice Amos, profesor uniwersytetu londyńskiego stara się dać cudzoziemcom klucz do zrozumienia ducha tradycji i ducha prawa, które leżą „u tronu" angielskiej konstytucji. Książka jego p. t. „Konstytucja angielska", przyswajona polskiej literaturze przez Mieczysława Szerera, doskonale spełnia to zadanie.

Dla przeciętnego Polaka wykład prof. Amosa będzie nie w jednym punkcie rewelacją.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu, a jakże aktualny: stanowisko *speakera* Izby Gmin czyli po naszemu stanowisko marszałka Sejmu w Anglii i w Polsce.

„Od r. 1839 panuje przekonanie, że urząd przewodniczącego Izby Gmin—pisze prof. Amos—jest czysto sędziowski, całkowicie wolny od względów polityki partyjnej. Co prawda, gdy urząd przewodniczącego się opróżnia, otrzymuje go zwolennik stronnictwa rządzącego; ale raz wybranego *Speakera* wybiera się ponownie we wszystkich następnych parlamentach, póki sam się nie wycofa. Jest też powszechnym zwyczajem, że nie przeciwstawia mu się kontrkandydata ani w jego okręgu ani przy wyborze przewodniczącego Izby. *Speaker* jest sędzią. Przewodnicząc Izbie Gmin, nie tylko stosuje i wykłada olbrzymi stos precedensów, lecz osobistym swym wpływem i powagą winien utrzymać godność Izby i strzec — tak pod względem formy, jak i samej rzeczy — swobodnej, uczciwej i uprzejmej dyskusji. Obowiązki... wymagają u pełniącego je bardzo wielkiej powagi i niezaprzeczalnej bezstronności".

Nie są to tylko czcze, albo przebrzmiałe słowa. *Speaker*-socjalista, wybrany przed 14-tu laty w czasie, gdy *Labour Party* miała w Izbie Gmin względną większość, sprawował swój wysoki urząd aż do r. 1937, gdy z powodu choroby ustąpił, mimo, że układ polityczny Izby Gmin radykalnie się przechylił na stronę konserwatystów.

Jakże ten obyczaj angielski jest odmienny od form i obyczajów, które my w Polsce wytwarzamy w polskim parlamencie.

Marszałek Walery Sławek padł przy wyborach do nowego Sejmu w dniu 6-ym listopada 1938 r.

Marszałek poprzedniego Sejmu, major Kazimierz Świtalski, wygłosił w Senacie w roku 1935 przemówienie, które w części poświęcił—sobie jako marszałkowi Sejmu z lat 1930—1935. Stwierdził on z całą otwartością, iż z pełną świadomością tego, co robił, pomniejszał rolę i znaczenie Sejmu, a nieraz zadawał sobie pytanie, czy w tej degradacji nie przesadził.

Marszałek Sejmu w latach 1928—30, Ignacy Daszyński, przeżył także parę chwil bardzo ciężkich.

Anglia i Polska! Jakże inne panują w nich obyczaje!

Anglia dotąd nie spisała swej konstytucji, Polska w ciągu 20 lat ponownej swej niepodległości miała ich już trzy: t. zw. małą z r. 1919, marcową z r. 1921 i kwietniową z r. 1935. Sądzę, iż niezbyt długo czekać będziemy na czwartą.

Anglia ma rządy gabinetu. Daremnie jednak szukamy ustawy, określającej prawa i obowiązki Rady Ministrów. Nie ma takiej ustawy.

Anglia nie ma jednej ustawy skarbowej, ustalającej budżet roczny państwa.

Anglia niema ministra sprawiedliwości.

Posłowie Izby Gmin aż do r. 1911 nie pobierali diet.

Od r. 1937 szef opozycji otrzymuje specjalne wynagrodzenie z kasy państwa.

A pojęcie obywatelstwa kraju?

„Społeczność państwowa, do której należymy, — pisze prof. Amos — ma za członków tych wszystkich, którzy są winni królowi wierność hołdowniczą. To ten dawny węzeł feodalny pomiędzy wasalem a jego zwierzchnikiem charakteryzuje poddanego brytyjskiego i tworzy naszą wspólną przynależność państwową. A określenie to posiada następstwa życiowe, z których jedno na tem polega, że kogokolwiek łączy wierność hołdownicza z królem angielskim, ten posiada wszystkie prawa obywatela brytyjskiego. Tak np. kiedy królowie Anglii byli również królami Hanoweru, Hanowerczycy, nie będąc cudzoziemcami, mieli czynne i bierne prawo wyborcze do parlamentu angielskiego. Mężczyzna czy kobieta, bez względu na rasę, jeśli tylko urodzili się w jakiejkolwiek części dominiów królewskich, posiadają bierne prawo wyborcze do parlamentu i w razie spełnienia koniecznego warunku zamieszkania w jednym z okręgów wyborczych, mogą głosować w Zjednoczonem Królestwie jako wyborcy parlamentarni. Znaczenie tej zasady uwydatni się, gdy zważyć, że podobna reguła nie istnieje ani we Francji ani w Ameryce. Mieszkańcy wysp Filipińskich są poddanymi Stanów Zjednoczonych, ale nie są ich obywatelami. Mahometańscy mieszkańcy Algieru nie są obywatelami francuskimi.

Czy owe prawo powszechne, *Common Law*, jest niezmienne? Bynajmniej. Konstytucja angielska jest „religią bez dogmatu”, ulega zatem interpretacji z wiekami bardzo zmiennej i do potrzeb społeczeństwa i państwa dostosowanej. Zjawiają się różne fragmenty ustaw pisanych, mających charakter konstytucyjny, *Habeas Corpus*, *Act of Settlement*, *Reform Bill*, *Parliament Act*. Przybywają nowe obyczaje i zwyczaje, wygasają dawne. Korona utraciła oczywiście niemal całkowicie ważną dawniej prerogatywę, a mianowicie prawo stanowienia ustaw za pomocą proklamacji lub rozporządzenia króla w Radzie. Dziś w Anglii chętnie mówią, że król jej jest tylko symbolem jedności państwa, a państwem rządzi gabinet wyłoniony przez stronnictwo, mające większość w Izbie Gmin. Słyszymy nawet pytania: czy król jest potrzebny?

Czy tak jest istotnie? Znany pisarz Bagehot wyliczył kiedyś przykładowo, co królowa Wiktoria mogłaby była zrobić bez zasięgania zdania parlamentu. Prof. Amos powtarza to zestawienie jako i dziś aktualne. „Nie mówiąc o innem, mogłaby rozpuścić armię (prawo nie zezwala jej na zaciąganie ochotników ponad pewną liczbę, ale nie jest zobowiązana zaciągnąć kogokolwiek); mogłaby zwolnić wszystkich oficerów, od naczelnego wodza w dół; mogłaby również rozpuścić wszystkich marynarzy; mogłaby wyprzedać wszystkie nasze okręty wojenne i magazyny floty; mogłaby zawrzeć pokój, poświęcając całą połać kraju i mogłaby rozpocząć wojnę o prowincję we Francji. Mogłaby podnieść do godności para każdego obywatela Wielkiej Brytanii, mężczyznę czy kobietę; mogłaby zdymisjonować większość urzędników; mogłaby ułaskawić wszystkich przestępców”.

A więc władza Korony nie jest ani małą ani podrzędną. Tyle, że jej cała siła polega na wyniesionym przez naród angielski do dogmatu kompromisie króla z opinią publiczną i dobrze zrozumianym interesem kraju i na symbolu — całości Imperium.

Bo Anglia jest i monarchią i demokracją, może jest — jak paradoksalnie pisze profesor Amos — „republiką monarchistyczną”. Bo Anglia, składa się z obywateli, którzy szanują tradycję i zdanie cudze, nawet wtedy, gdy go nie podzielają. „Nasza konstytucja jest wynikiem, a nie przyczyną pewnych właściwości naszego życia narodowego. Konstytucja jest pewnym stanem umysłu. I choć można sądzić, że z angielskiego temperamentu narodowego wywieziono część drożdży fermentacyjnych, by stworzyć Amerykę i imperium, wolno wątpić, czy rzeczywiście jesteśmy bardziej zachowawczy, niż np. Francuzi. Nasz zwyczaj wlewania nowego wina do starych beczek pochodzi nie tyle z wyjątkowego przywiązania do starożytności, ile z faktu, że udało się nam uniknąć wielkich amputacji naszego ciała politycznego, że mało wiązadeł przecięto; i gdy wydaje się, że szanujemy zmarłych, w rzeczywistości dbamy o swych współobywateli”.

„Prawo nasze tworzą z najpodnioślejszych

motywów ludzie jaknajmniej przekupni i jaknajbardziej owiani duchem publicznym”.

Dopiero, gdy się należycie wczytamy w takie, jak powyższe cytaty, sądy i wywody, zaczniemy rozumieć spokój i flegmę angielską. Anglik wierzy—Koronie i rządowi nawet wtedy, gdy mu się to i owo nie podoba, bo wierzy w ich intencje i „najpodnioślejsze motywy”.

Warto te tak odrębne cechy Anglików porównać ze stosunkami w Polsce i choćby dlatego trzeba przeczytać książkę prof. Amosa.

STANISŁAW RYMAR

Z ROZMYŚLAŃ O DWUDZIESTOLECIU

TRUDNO by w naszej historii znaleźć przykłady jakiejś jaskrawej i gromadnej psychozy szowinistycznej. Widocznie megalomania nie tkwi w polskim charakterze. Żydowscy patrioci uciekają od groźnej rzeczywistości do satanicznych, obłędnych, krwawych wizji podboju świata. Znana jest wszędzie Niczeańska koncepcja nadczłowieka, pruska buta, niemiecki imperializm, znany jest w Europie i... ceniony krzyżacki gad, „wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele”. Wiadoma nam jest pozycja Anglii w świecie i — zamaskowana pozorami demokracji, kultury i dżentelmeństwa, straszliwa dla jej podbitych ludów — megalomania narodu angielskiego. To na wyspy brytyjskie jechał Smętek Żeromskiego, opuszczając po wojnie Pomorze. „Tam jeszcze, mówił pogardliwie do Niemca, z emfazą wypowiada się słowo „sprawiedliwość”, z flegmą trzymając objekt za gardło”...

U nas zaś, jeżeli w głowach romantycznych geniuszów poezji rodziły się koncepcje jakiegoś wybraństwa naszej zmasakrowanej wtenczas Ojczyzny — to nie myślano nigdy, ażeby stworzyć z Polski naród panów. Nie. Przedmurze chrześcijaństwa, jak to było pod Legnicą, pod Warną, pod Wiedniem, a nawet, powiedzmy — pod Grunwaldem — a ostatnio nad Wisłą roku 1920 — zawsze i nadal chcemy ze siebie uczynić. Okopy Świętej Trójcy, na których Galilejczyk zwycięża — tak samo, oczywiście. Chrystusa narodów — naturalnie. Winkelrida narodów — owszem. Dobrodzieja, misjonarza i policjanta słowiańszczyzny, albo Europy środkowej — tak. Ale żeby rozwalać społeczeństwa i rewolucjonizować, oszukiwać ludzi i szantażować państwa, jak to od czterech tysięcy lat robi naród wybrany, żeby wynaradawiać, gnębić, podbijać, jak to czyni rasa najwyższa, nordycka — nie, tegośmy nie umieli, do tego nie byliśmy zdolni. Oddawna nie byliśmy zdolni do imperializmu, złego czy dobrego, szlachetnego czy zbrodniczego. Może przez ślamazarność, rozlazłość organizmu narodowego, przez chroniczny, od setek lat nieurodzaj na mężów stanu, wielkich polityków, (Dmowski jest genialnym samotnikiem), którzy by umieli kreślić wielkie plany i budować państwo przez pokolenia. Może przez „polskie gospodarstwo”, przez „wieczną kobiecość „Francuzów Północy”. Ale może jednak trochę i przez rycerski wstręt do żołdactwa, przez kult sprawiedliwości i czystych rąk w polityce zagranicznej, przez poczucie godności własnej i cudzej, i przez katolicyzm Jezusowego uśmiechu i łaski, ten „bez oręża” od św. Teresy i św. Franciszka z Assyżu.

Więc kiedy poeci Wyspiański i Kasprowicz obwieścili miastu i światu potęgę ludu, wprowadzonego przez „Głos” do Ojczyzny, kiedy chlubimy się co jakiś czas nauką i sztuką polską, naszym katolicyzmem, naszą armią, kiedy politycy narodowi stwierdzają, że mamy dostateczne warunki i siły, ażeby zrobić z Polski mocarstwo — nie megalomania to, ani zaślepienie patriotyczne.

To raczej skromne stwierdzenie, oparte na krytycznej obserwacji, że tkwią w nas, nie tyle może w obszarze, w położeniu państwa, w ziemi polskiej, ile w duszach Polaków olbrzymie zdolności, drzemią w nas poważne siły. Ale pozycja Polski w świecie nie odpowiada sumie indywidualnych sił Polaków.

Jaka jest tego przyczyna?

Kiedy się postawi takie pytanie w towarzystwie ludzi kształtujących swoje poglądy wedle brukowej prasy, nie umiejących myśleć porządnie własnym rozumem, zaraz się usłyszy stereotypowe, banalne odpowiedzi: Bo my jesteśmy „wybujali indywidualiści”. Bo u nas nie ma poczucia autorytetu. Karności. Poszanowania władzy. Uznania wielkości. Bo u nas jest warcholstwo. Partyjnictwo. Ludzie mędrkują, a nic nie robią...

Pomyślmy spokojnie — czy to jest prawdu, czy to jest istotna i cała prawda?

Rozproszkowanie w życiu politycznem? Zwyczaj chodzenia samopas? Niepodatność do hierarchicznej dyscypliny? Proszę sobie przypomnieć dzieje Obozu Wielkiej Polski. To było zjednoczenie narodowe, skupiające ludzi dzielnych, ideowych, ofiarnych. Tempo rozwoju tego ruchu przewyższa wszystko, co się działo w Polsce odrodzonej. Ofiarność jego najdzielniejszych jednostek graniczy z heroizmem. Jeżeli zważyć, na jak gwałtowny opór władz państwowych napotykali ludzie O. W. P., na co się musieli narażać — tak w pracy politycznej, jak i w życiu, i jeśli się porówna ducha bojowego O. W. P., jego znaczenie polityczne i sympatie społeczeństwa — z siłą i pozycją np. obecnego O. Z. N., korzystającego z wszelkich przywilejów, jakie daje sprawowanie władzy — wtedy... no wtedy wolno publicyście przynajmniej przypomnieć najcenniejszy bodaj aforyzm ks. prymasa Hlonda o mocach, które przeszkadzają Polsce w odszukaniu kształtu narodowego posłannictwa...

Słyszeliśmy zarzut, że społeczeństwo polskie jest cywilne, że nie ma zdolności do służby żołnierskiej i ochoty do wojowania. Przeczą temu takie fakty, jak obrona Lwowa, powstanie śląskie i wielkopolskie, cud nad Wisłą. Historia świadczy o naszym męstwie. Świadczy także o naszym rozumie, (choć znacznie rzadziej) — że nie chcieliśmy krwią swoją służyć obcym machinacjom, że nie mieliśmy ochoty ulegać ryzykownym koncepcjom polityków, którzy nie budzili zaufania. Na posiedzeniu sejmu Rzeczypospolitej poseł Stypułkowski omawiał znaczenie wojskowe Związku Strzeleckiego. Apelował (retorycznie) do

Rządu, aby przysposobienie wojskowe powierzono Stronnictwu Narodowemu... Teoretycznie zgadzamy się wszyscy, że obronność państwa winna panować nad innemi, powiedzmy — względami.

Ale... niech za przykład, jakże typowy, posłuży brygadier Mączyński, obrońca Lwowa, a potem... komendant P. K. U.

Możnaby zarzucać współczesnym Polakom, że obcy im jest duch ofiarności na cele publiczne, że na dobrowolne daniny zdobywają się tylko pod... pewną presją. Tymczasem w istocie jest znów zupełnie inaczej. Naród pieniądze daje, jeżeli cel odpowiada jego dążeniom i jeżeli jest przekonany, że funduszów zaofiarowanych nikt jawnie ani skrycie nie rozkradnie. To sprawa jasna i nie wiadomo dlaczego nasi „sanatorzy" dziwili się eskadrze samolotów „Orędownika" w tak piorunującym tempie ufundowanej, oraz ofiarności, poprostu żywiołowej, czytelników „Warszawskiego Dziennika Narodowego" — na spalone „Różki Ziemaki.

Mówi się u nas wiele, jako o ważnej bolączce, o katolicyzmie biernym, tylko „z imienia". Szczególnie zarzuty te dotyczyły warstwy inteligenckiej. Znaczną tutaj pociechą jest młodzież akademicka, której wprost przełomowe odrodzenie religijne tak zdumiewa i uszczęśliwia naszych czołowych katolików. Otóż ten piękny zakręt w historii polskich studentów rozpoczął się na dobre od małej broszury Dmowskiego p. t. „Kościół, naród i państwo". Wszędzie tam, gdzie panowało Z. P. M. D. lub Legion Młodych, organizacje wspomagane i kierowane przez tych samych ludzi, którzy nadal cieszą się w Polsce znaczeniem, kwitła propaganda antyklerykalna, a religii uczono się z Marksa i Lenina. Renesans katolicyzmu towarzyszył sukcesom ruchu narodowego na wyższych uczelniach. Kiedy ten ruch zwycięży w całej Polsce, typ katolika bezkompromisowego, aktywnego zapanuje we wszystkich warstwach społeczeństwa. Te same „moce", które, przeszkadzają posłannictwu narodu, hamują ekspansję katolicyzmu...

Niejednokrotnie z wysokich urzędowych stanowisk padały słowa nagany o słabych zdolnościach gospodarczych społeczeństwa. Dlaczegóż więc nie korzysta się u nas z doświadczeń i energii Polaków z Pomorza, Poznańskiego, Śląska. W Polsce od pewnego czasu zbyt dużą rolę odgrywają ludzie typu wschodniego, którzy wychowali się przeważnie w b. Galicji, na Rusi i Litwie, którzy wyszli ze środowisk najsilniej zażydzonych, o najniższej kulturze społecznej i gospodarczej. Czyż ci ludzie naprawdę są nie do zastąpienia w województwach północnych i zachodnich? Tamtejszy element autochtoniczny, który powinien odegrać w państwie rolę rozsadnika wyższej kultury, został skrępowany i odrzucony od steru nawy państwowej.

Oto jedna z wielu stron całego zagadnienia tragizmu losów Polski. Dwadzieścia lat naszego bytu jest jednym ciągiem walki i szamotań się społeczeństwa polskiego z żydami, ze stronnictwami polsko-żydowskiemi, z polityką obcą, zasilaną przez obcy kapitał. W trudnych warunkach, wbrew wszystkiemu, naród jednoczy się, zagospodarowuje, wyrabia się politycznie. Rośnie świadomość narodowa w najwybitniejszych jednostkach, dojrzewa społecznie lud wiejski, przeobraża się masa robotnicza, nabierając szybko pod wpływem robotników - narodowców antysemityzmu i poczucia służby swej narodowej ojczyźnie.

Jeńców wojennych i wogóle ludzi, prowadzonych na stracenie, choć nawet nie są maltretowani więzieniem, ogarnia zwykle tak silna apatia, że poprostu nie mają ochoty do życia, nie są zdolni do jakiegoś samodzielnego działania w obronie własnej. W czasie przewrotu bolszewickiego zdarzało się, że jeden żydek prowadził, nie oglądając się, na śmierć kilkunastu ludzi, niosących na ramionach łopaty do wykopania grobu. Bywało, że tacy skazańcy szli przez bezludną okolicę, gęsto zalesioną, porytą rowami strzeleckiemi. Opodal toczyła się bitwa. Szanse ucieczki olbrzymie. Oni jednak szli, z oczami wbitemi w ziemię, głusi i nieczuli na wszystko. „Biedny narodzie — mówi do tych ludzi Mickiewicz — żal mi twojej doli. Jeden znasz tylko heroizm — niewoli".

TADEUSZ DWORAK

POLSKA POMPEA

ZATOPIONA OSADA W BISKUPINIE

TYLE w ostatnich czasach słyszało się bałamutnych rzeczy na temat odkryć wykopaliskowych w Biskupinie nad Gopłem, że dokładne zdanie sobie sprawy ze stanu faktycznego stało się naglącą potrzebą.

Uczynił zadość tej potrzebie w sposób najbardziej autorytatywny, jako główny odkrywca i najwybitniejszy znawca przedmiotu, prof. Uniwersytetu Poznańskiega, dr. Józef Kostrzewski. W wypełnionej po brzegi, dużej sali warszawskiej Resursy Obywatelskiej wygłosił odczyt, ilustrowany zdjęciami, dokonanemi w terenie, w kolejności t. zw. „stanowisk".

Na terenie Biskupina w okresie prasłowiańszczyzny wznosiło się t. zw. grodzisko, pobudowane w celach nie tylko mieszkalnych ale — i przedewszystkiem — obronnych, Wybór miejsca: nad brzegiem i w obrębie działania stałego przyboru wód jeziora Gopła — spowodowany został troską o bezpieczeństwo mieszkańców wobec grożących, wrogich najazdów plemion bałtyckich. Ta troska przysłoniła zupełnie czyhające w ukryciu żywiołowe niebezpieczeństwo od strony sił przyrody. Osada bagienna w Biskupinie, pobudowana na palach, głęboko wbijanych w podłoże, i położonych na tem pomostach z bali drzewnych, została zalana przez fale jeziora, którego poziom znacznie się podniósł w okresie owej katastrofy na skutek podwyższonej prawdopodobnie w owym czasie ogólnej wilgotności. Było to mniej więcej około roku 750 przed Chrystusem, w t. zw. okresie wczesno-żelaznym.

Co było nieszczęściem dla ówczesnych mieszkańców osiedla, jest błogosławieństwem dla nauki,

która dostała do rąk całość dorobku dawnych Słowian, przechowaną jak w bezpiecznej gablocie muzealnej pod lustrzaną taflą wód Gopła.

Rzecz jasna, katastrofa nie spadła na zupełnie nieprzygotowanych. Woda wdzierała się już oddawna, to też w wykopaliskach znajdują badacze wielokrotne podnoszenie poziomu wody i jakby warstwy całe — jedne na drugich — bali drzewnych. To samo w domach mieszkalnych.

Jednocześnie nasi praojcowie, przywiązani zapewno bardzo do miejsca, z trudem godzili się z myślą opuszczenia osady. (Są ślady usiłowania powrotu po zalewie). I dopiero nagły — kto wie, czy nie w nocy? — przybór wody zmusił ich do panicznej zapewne ucieczki, o czem świadczy porzucenie całego prawie dobytku, zachowanego we wnętrzach chat.

Osada została pobudowana gdzieś około roku 450 przed Chrystusem. Ze względów obronności i szczupłości terenu na wysuniętym wgłąb jeziora półwyspie, urządzona została dość ciasno. Zrealizowano tutaj rozwiązanie trudnych, niemal nowoczesnych problemów urbanistycznych, wyzyskania w pełni miejsca — i prototypu bloków mieszkaniowych. Osada miała kształt owalu. Otoczona była podwójnym wałem ziemnym, wysokim na jakie 4 — 5 mtr., a więc kryjącym całkowicie lica chat. Wał taki składał się ze skrzyń drewnianych, robionych węgłowo albo na zrąb, przypominających nieco kesony mostowe, i napełnianych ziemią. Nad tem wznosiło się jeszcze dylowane przedpiersie, kryjące obrońców. Nazewnątrz wału był pobudowany falochron z ukośnemi w stosunku do naporu fal balami.

I tę konstrukcję odnajdziemy dziś w tak częstych np. na Narwi „iżbicach", strzegących mosty przed krą wiosenną.

Wzdłuż wewnętrznej strony wału biegła ulica okólna. Na poprzek znów osada była pocięta ulicami idącemi ze wschodu na zachód. Wzdłuż tych poprzecznych ulic stawiano chaty. Tworzyły one jeden szereg, łącząc się ścianami szczytowemi i wspólnym, dwuspadowym (na północ i południe) dachem.

W tych zbiorowych budynkach poszczególne chaty wyróżniały się tylko osobnemi dymnikami (kominów nie było, palono wewnątrz, na polepie ogniska) i wejściami od południowej, słonecznej strony (okien nie znano). Każda więc linia tych domków, dostępna z jednej tylko strony, stanowiła w razie potrzeby zamkniętą linię obronną. Jedynem każdorazowo wejściem była ulica okólna.

Pojedyńcza chata składała się z kwadratowej prawie izby i łożnicy wzdłuż jednego boku oraz przedsionka wraz ze śpiżarnią wzdłuż drugiego. Dwoje było drzwi: jedne, szersze prowadziły z dworu do sieni, drugie — nawprost nich — wiodły z sieni do izby (chodziło o oświetlenie wnętrza z dworu). W łożnicy na zwykłem dylowaniu umieszczona była rama z bierwion. W jej czterech rogach wiercono otwory i wpasowywano w nie słupki narożne, na których wznosiła się cała konstrukcja.

Drzwi składały się z trzech pionowych łat i pięciu poprzecznych. Luki wyplatano i niekiedy zarzucano gliną. Zawiasów nie znano, to też drzwi takie bywały jedynie przystawiane do otworów wejściowych. Ognisko, ze względów zdaje się kultowych, układano na prawo od wejścia. Były to kamienie, pokryte gliną. W ten sposób izolowano ogień od materiałów łatwopalnych, jak podłoga z drzewa. Gdyż, jak już wspominaliśmy, zarówno podłogi w chatach jak i ulice wykładane były balami drzewnemi sosen i brzóz, niekiedy w kilku warstwach. Zwłaszcza w dolnych, bardziej pod spodem zachowały one do dziś korę zwierzchnią.

Nasi prasłowiańscy przodkowie byli narodem osiadłym i rolniczym. Zachowały się w śpiżarniach chat ziarna zbóż. Uprawiano tam aż cztery gatunki pszenicy, z tych jedna orkiszowa, jedna zwykła, a dwa pozostałe o dziwnie tęgich i szerokich ziarnach, produkt widocznie wyjątkowo starannej i umiejętnej gospodarki. Prócz tego, proso, jęczmień — a z jarzyn: bób, groch, soczewica. Ogółem 140 gatunków roślin t. zn. znacznie więcej niż w analogicznych osadach palowych w Szwajcarji.

Wśród pozostawionych narzędzi znajdują się: radło, sierp żelazny, pionowe żarna kamienne i wiele innych, jak np. niecka do zagniatania ciasta, wydłubana w pniu drzewnym albo t. zw. koziołek czyli „firlejka" (z niem.), w kształcie okrzesanej i ogładzonej gałązki jedlinowej z krótko przyciętemi odroślami, do dziś w kaliskiem używana do rozbełtywania żuru na barszcz. Gdzieindziej nazywają to „mątewka".

Są i zabawki. W jednej z nich poznajemy tak dobrze z łowickich i sieradzkich jarmarków znanego „kuraska" z gliny, na którym dzieci piszczą albo „piskają" (jak mówi Reymont) dla tem większej uciechy. Ramowy, pionowo obsadzony na drewnianej podstawie warsztat tkacki służył do wyrobu płótna z lnu. Do tegoż pomagało naszym praszczurom — a raczej ich żonom — wrzeciono.

Ogromna jest kolekcja wyrobów żelaznych i bronzowych: broni, ozdób oraz narzędzi o różnem przeznaczeniu i użytku codziennym. Wszystko to odlewano w miejscowych warsztatach, o czem świadczą poznajdywane formy gliniane. Lepiono wprzódy model z wosku, ten otaczano płaszczem glinianym i wstawiano do specjalnego pieca. Tam wosk się topił i wyciekał. Do wypalonej już formy glinianej wlewano bronz.

Ciekawe są ornamenty zdobnicze na naczyniach biskupińskich. Oglądamy stylizowany rysunek, wyobrażający jeźdźca konnego w pogoni za jeleniem. Żywe świadectwo żyłki myśliwskiej naszych praojców. Polowano nie dla mięsa, gdyż dość było zwierząt domowych (nie hodowano wcale drobiu; kur ani kaczek czy gęsi), ale dla sportu czy rogów, z których wyrabiano potem grzebienie, bransolety, paciorki i t. p. Również z amatorstwa trudnili się ci rolnicy rybołóstwem, połowem sumów i jesiotrów.

Gdy chodzi o narzędzia lokomocji, to zachowały się koła od wozów, typu t. zw. „tarczowego", wyrobione z jednej sztuki drzewa z dwoma otworami dla zmniejszenia ciężaru i poprzecznemi listwami dla wzmocnienia. Jest to typ t. zw. śródziemnomorski, w Polsce zachował się do dziś w Lubelszczyźnie. Obraca się wokół osi,—ale istnieje i wysokogórska jego odmiana. Tam znów koła obracają się wraz z osią, podobnie jak dzisiejsze koła wagonowe.

Wśród wielu bardzo nagromadzonych przedmiotów codziennego użytku są niektóre (topory) z epoki kamiennej, świadcząc o dawności tutejszej cywilizacji, dziedziczącej po zamierzchłych zupełnie jeszcze epokach (starej rzymskiej).

Zachowany w Biskupinie dorobek ludzki mówi o wysokim poziomie kulturalnym prasłowian i o rdzenności ich cywilizacji. Wiemy dziś już, że tutaj właśnie, w ognisku nordyckich, długogłowych plemion, spokrewnionych językowo z Bałtami, szukać należy praźródeł polskich.

Nie bardzo to wygodne dla teoretyków ekspansji niemieckiej, zaprzęgającej, jak wiadomo, do swego rydwanu uczonych i belfrów nawet — ale niemniej prawdziwe, iż procentowo więcej u nas niż w Niemczech ludzie o typie nordyckim. Ten typ był panującym wśród Prasłowian, czego znów dowodzą wykopaliska. Tak więc i przeszłość i teraźniejszość woła do nas byśmy się nie wyrzekali roli „narodu panów", w pierwszym rzędzie wobec germańskiej natarczywości i buty.

Swą świetną prelekcję zakończył znakomity odkrywca przykładowo skromnem stwierdzeniem, że główną zasługę należy przypisać biskupińskiemu nauczycielowi, p. Szwajcerowi ...gdyż on doniósł o palach wystających z pod wody.

Mówił jeszcze prof. Kostrzewski o budownictwie domów mieszkalnych w starem grodzisku, różnem konstrukcyjnie od umocnień fortyfikacyjnych: gdy tam budowano na węgieł lub na zrąb tu istnieje stawianie t. zw. „łątkowe". Dziwna rzecz, mimo obfitości borów, wykorzystywano w tym rodzaju najkrótsze nawet, zdefektowane sztuki drzewa. Otóż prelegent spotkał się i w innych częściach Polski, nie mówiąc już o obecnym Biskupinie, z tym sposobem budowania się. Stąd wnioski o wyraźnym charakterze, nieomal narodowym, architektury chat na dużych połaciach kraju (aż po Polesie).

W r. 1936 odkryto główną część osady, jednak połowa jeszcze owalu pozostaje jeszcze pod wodą i mimo wybudowanej tamy woda na wiosnę i jesienią zalewa nisko położone osiedle i wypłasza pracujących.

Wiele tam garnie się entuzjastycznej młodzieży uniwersyteckiej, z uśmiechem znoszącej niewygody i trudy obozowania.

Ciekawa rzecz, na odkrytych dotychczas terenach wykopalisk nie odnaleziono chaty wodza lub wogóle jakiegoś znaczniejszego budynku, służącego za pomieszczenie dla przypuszczalnego gminowładcy ewentualnie dla władz centralnych osiedla biskupińskiego (jakiś przecie urząd musiał się tu naturalną koleją wytworzyć). Wszystkie domki należące do tej jedynej biskupińskiej „spółdzielni mieszkaniowej" mają jednakowy kształt i wymiar, niczem się od siebie nie różniąc.

Nie natrafiono również na wyraźniejsze ślady kultowe — brak tu przedmiotów służących do sprawowania jakiegoś obrządku. Nie należy jednak tracić nadziei, iż po odkopaniu drugiej połowy półwyspu uczeni - badacze dogrzebią się do zabytków, świadczących o religijności i poczuciu hierarchii społecznej u naszych przodków.

Sama praca odkrywcza jest ciężka i żmudna, nużąca też i nerwowa. Pokazywano mi osobliwe zdjęcie z terenu odkryć: oto na niskich ławeczkach siedzą szeregami robotnicy. Każdy z krótką łopatką drewnianą w dłoni. Nabraną, niewielką szczyptę ziemi rozkrusza pracowicie w palcach ażeby nic nie uronić z możliwych szczątków, skorup czy fragmentów naczyń albo narzędzi. I tak bez przerwy wdziera się niezmiernie powoli ciekawość ludzka w głąb ziemi, zazdrośnie strzegącej odwiecznych tajemnic i skarbów.

Ale taka praca męczy na dłuższą metę. Zwłaszcza ludzi nieoswojonych z kulturą, prostych, nie uginających się przecież pod ciężarem kosy czy cepu. Podobno przeciętnie robotnik w Biskupinie przepracuje ze dwa tygodnie i ucieka do cięższej fizycznie, ale nie tak wyczerpującej nerwy, roboty.

Długo nie milknące, huczne oklaski nagrodziły znakomitego prelegenta, — do którego mieliśmy tylko nieco żalu z racji cichej bardzo wymowy, przez co wiele ginęło z arcyciekawego wykładu.

STANISŁAW JÓZEFOWICZ

POLAŁY SIĘ ŁZY ME CZYSTE

NAŚLADOWANIA I PARODIE

Marian Niżyński

ŁZAWY DRAMAT

Te krople tańcujące
padają na życie moje, jak na tryptyk.
Więc patrz: dzieciak krzykliwy na łące
i dni równe, jak żołnierze na freskach Egiptu.

A to drugie — podejrzewam w sobie oddawna,
choć koloryt nieco się ściemnił,
młodość wierzgająca i niesławna,
galicyjska, beznadziejna, jak uremia.

I „Myśl Polska" i znów łzy, jako okoliczności,
sikające po faktach zdarzeń,
po obrazkach chorobliwej fantazyjności.
A śmiech ludzki wznieca we mnie bańki poparzeń.

Konstanty Dobrzyński

ŁZY I KŁY

Nas gniotły mury Łodzi na fabryczną masę
darły grzebienie bagnetów, jak szmaty w młynach papierni—
ścieki fabryczne spłukały z dziecięcych buzi krasę —
nad nami dym na kominach, jak pajęczyna na ścierni.
Łzy?
My?
Won!!! Łzy nam w młodości wyżarło wapno rynsztoków!
Przez pierś nam strajki, lokauty, jak nocne zmory szły!
Ojczyzna? Tak: mauzery i noże i łomy i pięści i kły
i krzyż — samolot do nieba startujący w ostatnim krwotoku!

Jerzy Pietrkiewicz

WÓDZ POKOLENIA

— Polały się łzy me czyste —
łkałeś, litewski Perunie — — —
dość tego! ja ci rękę podaję —
idziemy pod rękę w łunie!

Jak się macie, Byronie, Słowacki,
Dante — wszyscy moi przodkowie!
Dziś kto inny naród prowadzi,
dziś ja jestem z Polską po słowie!

INT

NA WIDOWNI

Europa środkowa musi być polską nie niemiecką. — Świetność jagiellońska i Hôtel Lambert. — Sojusz Worcella i jego symbole.

CHWILA jest taka, że na widowni są właściwie sprawy zagraniczne. Rozbiór Czechosłowacji i zupełna co za tem idzie zmiana stosunków nad Dunajem stawiają nas w obliczu niesłychanie ciężkich zadań. Z polityki względnie łatwych szablonów musi przejść teraz Polska, pod groźbą wielkiej klęski, do polityki istotnych czynów i istotnego myślenia. Steru wydarzeń ani na chwilę wypuścić z dłoni nie można i nakazem jest pamiętanie, że okazje raz dane przez historię nie powracają.

Nie ulega kwestii, że obalenie Czechosłowacji postawiło nas w niesłychanie ciężkiem położeniu. Po włączeniu Austrii i Sudetów Niemcy stały się znacznie większą potęgą od dawnych, przedwojennych Niemiec cesarskich i pierwszem co do wielkości i ludności państwem w Europie. Państwem, *nota bene* pozbawionem niemal wrogów, bo masoneria i żydzi dziś jedynie mogą tylko na Hitlera bezsilnie zgrzytać zębami, — a na żadnej granicy, poza polską i włoską, nie stoi armia gotowa do oporu. Włochy dla osi poświęcą wiele, twierdza sudecka jest rozbrojona, a brama dunajska otwiera przeogromne perspektywy ekspansji i tu dopiero docieramy do naszego problemu: — Polska jest dzisiaj przez Niemcy ze wszech stron osaczona, i musi temu przeciwdziałać, wydzierając Niemcom Europę środkową i organizując ją po swojemu.

Potrzebę tego wszyscy dzisiaj rozumieją i nie ma chyba u nas pisma, któreby o tem silniej czy słabiej nie wspominało. Ale jedno niepokoi — dziwna jakaś lekkomyślność w tych planowaniach i niepolityczny wprost optymizm, usypiający opinię. Dziś przeciętny Polak (a w każdym razie Polak rządowy, ozonowy, czy czytujący pisma półnarodowe) jest przekonany, że poczucie grozy niemieckiej już połączyło całą Środkową Europę, że wszystkie te narody dzisiaj tylko patrzą na Polskę i, że wogóle jesteśmy mocarstwem silną stopą stojącem na międzymorzu Bałtyk—Jadran—Morze Czarne. Tymczasem jest to zupełne złudzenie i narazie Polska na tem międzymorzu nic absolutnie nie znaczy. Dominują tu bezapelacyjnie Niemcy i dopiero grę wielką rozpocząć trzeba o należyte miejsce dla Polski na tym obszarze.

Jest to zupełnie zrozumiałe. Traktaty pokojowe w St. Germain, Trianon i Neuilly zorganizowały tę przestrzeń zupełnie bez naszego udziału i wytworzył się tu system polityczny, zależny od zaprzyjaźnionej z nami Francji, ale nam najzupełniej obcy. Będąc nieobecni politycznie i gospodarczo wszędzie za wyjątkiem Rumunii, robiliśmy tu jedynie pewne nieznaczne zresztą postępy moralne, zdobywając sobie sympatię tych ludów, naprawdę silną chyba tylko w Bułgarii. Była ona wprawdzie jeszcze silna i zdawna zakorzeniona na Węgrzech, ale tam właśnie ubiegłe dwadzieścia lat było szeregiem tragicznych błędów, których skutki niestety nie odrazu przeminą. Zato w sojuszniczej napozór Pradze mimo naszych wysiłków mieliśmy wtedy wciąż zamaskowanego, ale tem zdradliwszego i szkodliwszego przeciwnika.

Dziś to wszystko runęło i cała Środkowa Europa stanowi polityczne tworzywo, z którego należy dźwignąć nowy systemat. Robią to dzisiaj dla siebie Niemcy, ale w istocie ten obowiązek spoczywy na Polsce. I może w poczuciu tej konieczności wydano u nas piękne znaczki jagiellońskie, bo jagiellońskie czasy, to czasy rozkwitu wpływów polskich na tym obszarze i czasy najpełniejszego z nich wyrugowania zachłannej niemczyzny. Czechy po wojnach husyckich były jak rzadko w swojej historii niezawisłe od Niemców. Węgrzy za króla Macieja zdobywali Wiedeń, a północne macki Krzyżactwa wtedy właśnie zostały porąbane. Równocześnie zaś kwitła twórczość literacka i kulturalna tych krajów. Był świetny renesans na Węgrzech, zagospodarowywała się Litwa i zakwitł w niej egzotycznie zapóźniony gotyk, odbudowywał się po Tatarach Kijów, zaciekle filozofowano w Pradze, Stefan Wielki stawiał swoje malowane monastery, a Wszechnica Krakowska była jedną z najsławniejszych na świecie. Horyzont cywilizacji łacińskiej jaśniał wtedy słońcem Kopernika. Pełna czaru ta epoka i słusznie chcemy, by wróciła. Ale niestety, nie możemy się z nią zrównać i przyjdzie ona jedynie po latach wysiłków. Dziś sytuacja jest najzupełniej odmienna i gdzieindziej dla niej musimy szukać przykładów. Wielkie zjednoczone Niemcy tak samo dziś wiszą groźną chmurą nad tym obszarem, jak w pierwszej połowie XIX-tego wieku wisiała nad nim Rosja. I sytuacja nasza, choć wprawdzie o wiele lepsza, jest jednak zasadniczo podobna do sytuacji z tamtych czasów. Tak jak wtedy, trzeba dzisiaj wyrugować przemożny wpływ obcy i bronić zaciekle swojego wpływu. I po drodze jagiellońskich ideałów wzorem dla nas są Czartoryscy i Hôtel Lambert.

Jagiellońskie ideały, to ścisła wzajemna współpraca tego obszaru, z zaznaczonym wprawdzie prymatem Polski, ale jednak na zasadzie — wolni z wolnymi i równi z równymi. Dążono do zacieśnienia wzajemnych węzłów, ale pilnie unikano podporządkowywania sobie drugich państw. Nawet na Litwie odstąpiono, i słusznie, od pierwotnej, krewskiej inkorporacji. Bo trzeba zdawać sobie sprawę, że wszelkie wielkie i trwałe imperia stoją na dobrowolności węzłów i że najtrwalsze zdobycze dokonywują się wolno i etapami. Złoty testament Wawelu jest zawsze dla nas święty i on stał się wskazówką dla przewspaniałej polityki Czartoryskich, tej polskiej porozbiorowej dynastii z tego samego pnia gedyminowskiego idącej, co nasi najwięksi monarchowie.

Wspomnienie historii porozbiorowej nie jest dzisiaj modne, ale nie zawsze mądrze jest iść za modą. Właśnie o geniuszu i sile naszego narodu świadczy to, że nawet pozbawiony wolności i po takiej ciężkiej klęsce, jak upadek listopadowego powstania potrafił zajaśnieć, jak słońce i poprowadzić prawdziwie mocarstwową i imperialną politykę. Językowemu slawizmowi rosyjskiemu przeciwstawił Hôtel Lambert swój własny historyczny jedynie usprawiedliwiony slawizm, wykazując wrogie mongolstwo Moskwy, bratnio włączał do słowiańszczyzny Węgrów i Rusinów. Przeciwko hasłom liberalno - prawosławnym jasno i niedwuznacznie postawił jedynie słuszne hasło krzyża. Na Ruś i na Bałkan udali się Zmartwychwstańcy ze starą jeszcze florencką i brzeską ideą unii. Księża: Semenenko, Kajsiewicz i Kalinka poszli utartemi

szlakami naszej chluby — szlakami Kuncewiczów, Bobolów i Skargów.

Jedna myśl ogarnęła wtedy na zawsze zdawałoby się zgnębiony naród: — dźwignąć Polskę naprawdę wielką — środkowo-europejską Polskę Jagiellonów. Tej idei służyli wtedy wszyscy bez względu na drobne różnice. Przyświecała ona pracom i dociekaniom obu Bendtków, Maciejowskiego i radykalnego Lelewela. Ona kierowała publicystyką Worcella i wykładami Mickiewicza. Jej służyła wielka romantyczna literatura. Przejawiała się ona wszędzie i uparcie krzyżowała drogi Moskwie. I mimo ogromną przewagę białego cara nierzadko była zwycięska. Te lata, stosunkowo niedawne, zostawiły nam w spadku może najwięcej moralnego kapitału, w tych krajach. Kapitału, który dziś pora zużytkować.

Pora więc zabrać się do dzieła z całą energią i równie wszechstronnie jak wtedy. Przygotowywać starannie grunt polityce i samemu ją prowadzić wszelkiemi możliwemi sposobami. Odwojować wszystkie możliwości piórem, myślą i słowem. Wysiłków nie rozpraszać i znowu pójść na te tereny ze swoją własną ideą. Przeciwstawić niemieckiej materialistycznej mistyce krwi i rasy ideologię Krzyża, w cieniu której wyrósł nasz naród. Stać się z powrotem przedmurzem jedynie słusznej sprawy, jak zawsze w ciągu naszych dziejów. Bałkanowi, Rusi i Rumunii nieść z ideą unii prawdziwy zachód. Jest dla nas dziś pole do wielkiej polityki i musi ona być prowadzona. Trudność wszelka musi być pokonana. Trzonem przyszłej jagiellońskiej, środkowej Europy musi być wbrew całej marnej, jeżącej się od przeszkód rzeczywistości, worcellowski sojusz Polski, Węgier i Rumunii. Sojusz, którego odwiecznym symbolem są dzwony południowe i wieczorne na Anioł Pański, ustanowione na pamiątkę z jednej strony obrony Belgradu (1456), z drugiej: bitwy pod Warną (1444). Rumun z pochodzenia i regent Węgier, Hunyady, broniący z św. Janem Kapistrańskim bohatersko Belgradu i zmarły tam w obozie, jak później pod Chocimem Chodkiewicz,—i młody król Polski i Węgier, poległy za chrześcijaństwo, to zawsze żywi patronowie tej myśli, która zwyciężyć musi.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

POLSKA ARMIA NA RUŚ!

Pod takiem gromkiem hasłem odbyło się w sali Techników zgromadzenie publiczne w sprawie niepokojącej sytuacji na Rusi Zakarpackiej, zorganizowane przez Komitet prasowy walki o granicę polsko-węgierską.

Przy wypełnionej po brzegi sali,—publicznością mocno zaintrygowaną przeszkodami, jakie stawiano zorganizowaniu powyższego zebrania, projektowanego już od dwu tygodni.

Przemawiali: rzeczowo i spokojnie red. St. Piasecki, demagogicznie—p. J. Babiński, ciekawie pod względem bagażu historycznych informacyj i z sympatią dla Węgrów—p. Karol Stefan Frycz. Wiecowo ujął sprawę p. Olgierd Szpakowski, naukowo rozważał problem gospodarczy Rusi — W. Zaleski.

Aleksander Bocheński zboczył nieco z kierunku południowego na swój ulubiony wschód i pokazał zebranym drogę do Węgier poprzez Wielką Ukrainę (ciekawych odsyłamy po bliższe szczegóły do Alfreda Rosenberga) aż na niezmierzone obszary rosyjskiego imperium, które to my podobno w jakimś paneuropejskim interesie winniśmy zawojowywać. W tem miejscu sala dziwnie nieczuła, chłodła w zapale i słabo reagowała. Tacy ci warszawiacy już z natury ostrożni i nieufni.

Daleko więcej wszystkim przypadło do smaku, gdy p. Zaleski przypomniał o naszym brzegu morskim i północnych także problemach.

Zato widać było, jak jest żądanie od państwa polskiego czynnej interwencji na Rusi Zakarpackiej i uzyskania wspólnej granicy z Węgrami, powszechnie rozumiane i odczuwane.

Grają tu rolę: nietylko względy tradycyjnej przyjaźni, z przysłowia o szklance i szabli, wspólnych dwóm „bratankom": Węgrowi i Polakowi — przyjaźni dokumentowanej nieraz w potrzebie ale i co ważniejsze, dojrzewanie naszego narodu do wielkości. Tej zaś niepodobna wymarzyć bez poczucia misyjności.

Misją Polski—wierna straż pośrodku Europy. Cel i zadanie: wstrzymać w przymierzu dwóch katolickich narodów napór bizantyńskiej sekty bolszewickich ikonoklastów (p. kult „ojczulka Koby"—Stalina; do niedawna Lenina) — na rzymski Zachód. Powtóre: osadzić w miejscu rozpęd teutońskiego pogaństwa, organizującego już na dobre środek starej Europy, dziedzinę niegdyś cywilizowaną przez Rzym łaciński, później oświecaną przez Kościół światłem jedynej, prawdziwej wiary katolickiej.

Chwila domaga się działania — sposobność może się w oczach odwrócić. Małodusznym biada! Miecz niechaj rozetnie, co kombinatorzy gabinetowi naplątali.

Do numeru obecnego dołączamy dla dogodności odbiorców „MYŚLI NARODOWEJ" przekazy na PKO konto 3.105.

REWOLUCJA NARODOWO-SOCJALISTYCZNA TRWA

OFENZYWA przeciwżydowska w Trzeciej Rzeszy trwa, a nasilenie jej przypomina dni przełomu z wiosny 1933 r. Wówczas to po raz pierwszy od lat bardzo, bardzo wielu świat zobaczył jawną walkę z żydostwem, prowadzoną nie bezprawiem ale prawem. Akty bezprawia, te które były, odgrywały rolę rewolucyjnych akcesoriów—ilustrowały nastrój zobowiązujący rząd do wydania ustaw, widomych oznak „powrotu do średniowiecza“, jak z przerażeniem oraz zdziwieniem głosili uparci ideolodzy zasad demo-liberalnych.

ROZWÓJ AKCJI PRZECIWŻYDOWSKIEJ

Liczba żydów zamieszkujących Niemcy w r. 1932 — według źrodeł hitlerowskich — wynosiła 550.000 wyznania mojżeszowego, 320.000 „bezwyznaniowych“ i 780.000 mieszańców. Cyfry te mówią wiele. Ukazują charakter niemieckiego żydostwa oraz rodzaj i zasięg ich wpływów. Świadczą o wzajemnem przenikaniu krwi, gatunków cywilizacji. Mówią już nie o niebezpieczeństwie grożącem narodowi niemieckiemu, ale o jego upadku. Potrzebna była gwałtowna operacja i to przedewszystkiem w sferach górnych, oświeconych, elicie. W sferę tę też uderzył pierwszy impet rewolucji narodowo-socjalistycznej. Wyrugowano żydów z życia kulturalnego i wolnych zawodów, Dobrano się do finansjery. Był to ze strony Hitlera dowód dużej odwagi i ryzyka, jeśli się weźmie pod uwagę niepisany wprawdzie, ale istniejący sojusz żydowsko-niemiecki, na którym, jeśli idzie o doraźne sukcesy, Niemcy wcale dobrze wychodziły, ale który na dłuższą metę okazał się dla narodu wprost zabójczy.

Kontratak światowego żydostwa z całym zasięgiem ich wpływów wytrzymała Rzesza daleko łatwiej, aniżeli się powszechnie spodziewano. Dokonawszy pierwszego zabiegu operacyjnego rządzący aktyw partii narodowo-socjalistycznej zajął się innemi zagadnieniami: plebiscyt w Zagłębiu Saary, opuszczenie Ligi Narodów, odbudowa armii, zajęcie Nadrenii, montowanie osi Berlin-Rzym i Berlin-Tokio, przyłączenie Austrii, przyłączenie Ziemi Sudeckiej itp. Z kwestii żydowskiej nie spuszczano jednak oka ani na chwilę, dowodem statystyka ilustrująca emigrację. Od dn. 1 lutego 1933 r. wyemigrowało z granic Rzeszy 100.000 żydów. W ciągu roku 1936 — 21.000, w r. 1937 — 15.000, w r. wreszcie 1938 około 10.000.

Ale rok 1936 był rokiem *anschlussów* Austrii i Sudetów. Zaczem i nowa porcja żydów, wzrost poważny odsetka, co wywołało reakcję. Żydami, którymi zajmowano się do tej pory wtedy tylko, gdy trzeba było dać wyczekującemu wielomilionowemu tłumowi dać się czemś zająć, by nie przeszkadzał w pracy sztabowi rządzącej partii, zajęto się poważnie. I uchwały norymberskie nakreśliły plan pozbycia się ludności żydowskiej z Niemiec w przeciągu najbliższych lat pięciu. Zadanie niełatwe, ale nie przebierano w środkach. Odstawiano poprostu do wszystkich granic państwa żydów pociągami i pozostawiano ich tam swojemu losowi. Ze względów od nas niezależnych nie możemy dać należytej ilustracji konsekwencji tych metod. Ale głos urzędowej „Gazety Polskiej z dn. 18 b. m. dostatecznie zorientuje w sytuacji:

„Polska, kraj notorycznie przeludniony, kraj tradycyjnie emigracyjny, kraj o najsilniejszej dynamice wychodźtwa żydowskiego w Europie — naskutek pogorszenia położenia żydów w innych państwach staje się krajem imigracji żydowskiej. Stoimy wobec zjawiska przypływu do Polski elementu, który z Państwem Polskiem w swej większości nie jest związany ani urodzeniem, ani rodziną, ani tradycją, ani językiem, ani kulturą. Jedynym związkiem tych ludzi z Polską jest posiadanie paszportu polskiego niejednokrotnie zresztą nieważnego. Stoimy więc wobec imigracji do Polski elementu obcego, pozbawionego poza tem wszelkich środków egzystencji. Proces ten odbywa się w chwili gdy naturalne nasilenie emigracji żydowskiej z Polski, oceniane przez źródła żydowskie na 100.000 osób rocznie, zmalało skutkiem utrudnień emigracyjnych w r. 1937 do 9.000 osób, co nie stanowi nawet 10 proc.“

„*HAWLAGA*"

Nagle, w okresie wzmożonego *sui generis* „eksportu" padł strzał. To strzelił wyrzucony z Niemiec 17-letni Grynszpan. Kule zabójcy trafiły w sekretarza ambasady niemieckiej w Paryżu, von Ratha.

Słyszeliście strzał w górach? Krótki, suchy trzask, a potem echa. Niezliczone echa, wreszcie huk, jakoby gromu. Paniczny lęk ogarnia człowieka, lęk, który się potęguje z każdą chwilą.

Echa paryskiego strzału odbiły się w Berlinie, w Wiedniu, Monachium, poczem gromem całym poczęły się rozlegać w każdem mieście, miasteczku niemieckiem, w każdej niemieckiej wsi.

Lęk ogarnął żydów. Jak na komendę prasa żydowska całego świata wydała jeden głos potępiający młodego Grynszpana. Potępienie wypływało z poczucia grożącego żydom niemieckim niebezpieczeństwa i miało w sobie wiele z tonu urzędowego wyrażania żalu. Przytaczamy jeden z najbardziej charakterystycznych głosów A. Einhorna w warszawskim żargonowym „Hajncie“:

„Znów gest rozpaczy, znów bezsensowny akt, który z pewnością nie przyniesie nam korzyści i znów musi po całym świecie żydowskim rozlec się energiczny zew, kategoryczny nakaz: „*Hawlaga*" (hebr. samoopanowanie—nazwa taktyki stosowanej przez skupienie żydowskie w Palestynie, w odpowiedzi na terror arabski). Teraz bowiem właśnie bardziej niż kiedykolwiek musimy zachować zimną krew, teraz właśnie musimy zmobilizować całą naszą siłę duchową i opanować nasz ból".

„*Hawlaga*“—wiemy już jak „to“ się nazywa. Ale samoopanowanie żydów w Palestynie ma bardzo dziwne przejawy: 1089 Arabów poległo w przeciągu ostatnich czterech miesięcy.

Konwencjonalne oświadczenia żydów nie zadowoliły Niemców. Nastąpił początkowo „odruch" noszący zresztą wszelkie cechy dobrej organizacji. Bo Niemcy to geniusz organizacji. A w Trzeciej Rzeszy nawet produkcja uczuć jest zracjonalizowana.

Demolowanie sklepów, warsztatów pracy. Liczne napady i aresztowania. Palenie synagóg,

domów modlitwy. To wszystko było bezprawie. A potem przyszło prawo: konfiskata premii ubezpieczeniowych i grzywna. „*Eine milliarde Reichsmark Judenbusse für die Pariser Bluttat*! — jak obwieszczał urzędowy organ partii „*Voelkischer Beobachter*". Ruina materialna żydów zupełna. Do tego zakaz prowadzenia handlu hurtowego i detalicznego. Sklep, jeśli ciąży, można sprzedać Niemcowi. Wiele też ich od ręki Niemcom sprzedano.

Jeszcze nie koniec. W przygotowaniu przyśpieszenie wykonania ustaw norymberskich. A przedewszystkiem wprowadzenie ghetta. Wyodrębni się w miastach dzielnice i każe się w nich żydom wegetować. Żeby już nie było żadnej pomyłki, żyd czy nie żyd, wprowadzi się żółte opaski, odpowiednik średniowiecznej żółtej łaty.

HUMANITARYZM NAD TAMIZĄ

Pierwsza poczęła rozdzierać szaty nad „barbarzyństwem współczesnych Hunnów" Anglia. I to rozdzierać szaty oficjalnie. Wyprzedziła znacznie Francję, która wykazała znacznie więcej zimnej krwi, chociażby z tego powodu, że ma przecież u siebie kłopot z Grynszpanem i codzienny owych Grynszpanów najazd, ostatnio wzmocniony. A z pośród Anglików najczynniejszy Eden, któremu żydzi wciąż robią reklamę (w Polsce Pat — dlaczego?), w tym celu, ażeby nie „wyszedł z kursu" po dymisji dość sromotnej. W Izbie Gmin zapowiedź interpelacji co poirytowało (i słusznie) Niemcy, gdzie zapowiedziano interpelacje w sprawie angielskiego terroru w Palestynie, co z kolei dotknęło dumny Albion. I dzisiaj nie wiadomo, czy gwałtowniejszy jest atak opinii angielskiej, czy niemieckiej. Urzędowa prasa hitlerowska wytyka Londynowi podwójną moralność, szydząc z humanitaryzmu nad Tamizą, którego trudno dostrzec nad Jordanem.

Już to trzeba przyznać, że na szerzeniu zasad humanitaryzmu, liberalizmu i demokracji Anglia wyszła bardzo źle. Nie spostrzegła poprostu, że nie sposób już na nich opierać międzynarodowych wpływów, bo narody obierają sobie obecnie zupełnie inne drogi, któremi kroczyć chcą w przyszłość!

Skomplikowała się mocno sytuacja Wielkiej Brytanii. Dobre stosunki, z Hitlerem które zawarł w Monachium Chamberlain popsuły się ze szczętem. W Afryce i w Małej Azji życie poczyna się toczyć po osi... Rzym Berlin. „Święta Wojna" przeciw żydom w Palestynie napewno przybierze na sile. Weźmy tylko owe tendencje, jakie przenikają Kair.

A efekty upartej obrony żydów żadne. Poprostu żadne.

WSTRZĄS WIĘKSZY NIŻ PO NAPADZIE MARSJAN

Ameryka (to znaczy północna, bo południowa mocno zaryglowuje zamki swych bram dla emigracji spodziewanej semitów) po latach od Europy izolacji, poświadczonej uroczystemi deklaracjami, nagle poczyna wkraczać do Europy. Zupełnie jak po zatopieniu „Lusitanii". W Stanach Zjednoczonych poprostu wstrząs. Jeszcze większy niż po napadzie Marsjan.

Izba Deputowanych protestuje, a Roosevelt każe ambasadorowi U. S. A. w Berlinie jawić się czemprędzej w Białym Domu. Pochody, manifestacje. I murzyni też. Koniecznie domagają się wpuszczenia do Stanów większej ilości żydów. Chyba, żeby się podzielić z nimi wypadkami *linchu*. Kto wie, może się z czasem humanitarni, purytańscy Amerykanie zupełnie od czarnych odwrócą a zaczną palić żywcem wyłącznie żydów?

Codziennie nowe projekty pognębienia Niemców. Wyciąga się z archiwów wojny włosko-abisyńskiej nic wart w skutkach pomysł sankcyj. A żona Sinclaira Levisa Dorothy Thompson zbiera już fundusz imienia Grynszpana na koszta utrzymania instytutu mającego badać warunki bytowania żydów w Trzeciej Rzeszy.

Charakterystyczne. Do tej pory Stanów Zjednoczonych nic nie obchodziła Europa, dopóki nie tknięto w jakimś jej miejscu żydów. Obecnie znowu wkroczyła.

Trudno nie zacytować tu wiersza Nowaczyńskiego:

Mogliście bić się z Nowym Testamentem,
Mogliście szydzić sobie z Lachów Ducha,
Przebijać szpicem centr Zagłoby brzucha,
Mogliście Chrysta ogłosić pacyentem...
Ale się wszystko kończy z tym momentem,
Gdy tknąć śmieliście się Schulchan-Arucha.

OGIEŃ

Rozpoczęła się wielka bitwa narodów, którą żydostwo przegra, a wraz z żydostwem wszyscy jego obrońcy. Rozpętana nie na żarty batalia będzie miała ten skutek, że wzmocni pozycję Trzeciej Rzeszy i z tego jedynie nie należy się cieszyć.

Prasa żydowska doniosła, że Grynszpan, gdy się dowiedział o śmierci von Ratha, do którego strzelił, postanowił do końca swego życia w poniedziałki pościć. Bo zamach nastąpił właśnie w poniedziałek. Czy post dyktowany jest żalem za popełnioną zbrodnie, odebranie życia — jak chcą komunikaty owej prasy — czy błaganiem o przebaczenie Jehowy za postępek, który w rezultacie przyniósł pożar kilkudziesięciu domów modlitwy na terenie Niemiec?

Wieść o ogniu podkładanym pod synagogi wywarła duże wrażenie nie tylko na żydach. Bo dziwne uczucie ogarnia człowieka na widok spalania przedmiotu kultu religijnego. To raz a po drugie pierwotne instynkty tkwiące w każdym z nas reagują na wieść o ogniu jakimś nieokreślonym lękiem.

Ogień jest symbolem niszczenia. A rewolucja musi umieć niszczyć. I dlatego z obrazów ilustrujących pierwsze dni przełomu niemieckiego w roku 1933-go w pamięć naszą wryły się nie sceny strajku kolei podziemnej, czy zbiorowych meetingów oddziałów szturmowych, starć z marksistami, policją, ale obraz płonących stosów książek, które demoralizowały naród. W stosach tych widziało się istotę rewolucji.

Dzisiaj znowu ogień.

Rewolucja narodowo-socjalistyczna trwa.

J. BA.

NAUKA I LITERATURA

ASNYK W KRAKOWIE[1])

W NINIEJSZYM zbiorze korespondencyj Asnyka, dokonanym ze starannną pieczołowitością—przyczem każdy list został opatrzony rzeczowym komentarzem — pomieściło się: 23 listy do poety (cz. 1) i 130 listów przeważnie do ojca Asnyka od syna oraz do innych osób, W cz. III znalazły się inne materiały, takie np., jak „Dekret zwolnienia Kazimierza Asnyka z wojska z 1833 roku" albo wiersz „Ranek w górach" poświęcony p. Zofii Kaczorowskiej (w wersji pierwotnej).

W początkowych listach Asnyka znajdujemy adres nadawczy: Kraków, ul. Lubicz 6; dopiero pod datą 22 lipca 1872 roku adres się zmienia na ul. Łobzowską 99, gdzie nabył poeta domek z podwórkiem jeszcze w r. 1871. Mieszkał tam już aż do śmierci.

I wiele miał nieraz kłopotów z tytułu administrowania tą niewielką posiadłością. Tak np. pod datą 20 września 1872 r. pisze do ojca:

„W domku naszym wszystko w porządku, z ludzi, którzy zajmują kuchenkę, jestem ciągle zadowolony, dosyć są dbali o czystość i ład, druga strona jest już teraz odnajęta na całą zimę, komórka po pokryciu dachu blachą nie zacieka już zupełnie, sprawa rynsztokowa skończyła się kolacją i magistrat sam zajmie się przebrukowaniem rynsztoka i połączeniem go z głównym rynsztokiem ul. Łobzowskiej. W ogródku jesień już widoczna, wskutek ciągłych deszczów rozrosły się bujne chwasty, z któremi się walka prowadzi nieustanna" (str. 46).

Subtelny poeta, „użerający" się z krakowskimi publikanami—to, doprawdy bolesny kontrast, przykry zgrzyt, nie obcy naszemu życiu prowincjonalnemu.

Jak wiemy skądinąd (p. „Ze wspomnień o Asnyku" Lucyny Kotarbińskiej), mieszkanie Asnyka było dość zaniedbane—brak w niem się dawał odczuwać ciepłego dotknięcia kobiecej ręki.

Losem poety była samotność. Pewien arystokratyzm ducha, wyniosłość osobista — jednały mu szacunek, ale zarazem stwarzały mur nieprzystępności. Gdy umierał, zabrakło przy nim nawet najbliższych.

W listach swoich Asnyk trzyma się naogół prozaicznego tonu i stylu, pisze nierzadko o rzeczach codziennych, najpowszedniejszych. Podobnie jak w poezjach tatrzańskich, tak i na terenie epistolarnym przezwyciężał konsekwentnie kanon romantyczny.

Wiele bardzo tą drogą zdobywamy informacyj o nim samym, o jego sprawach literacko-wydawniczych.

Jedna cecha uderza tutaj i zbliża może w gatunku duchowym do genialnego poprzednika, gdy chodzi o listy—Słowackiego. Oto z bogatej serji listów Adama Asnyka do ojca bije gorące uczucie synowskie, znajdujące uzewnętrznienie nawet w formie: czułej, jednocześnie pokornej niemal.

Mężczyzna dojrzały, poeta sławny, uczestnik powstania i członek Rządu Narodowego z lat 63-ch, zwraca się do „drogiego ojczulka" w słowach wzruszających nawet u dziecka. Więcej, znosi nieraz połajanki z całą cierpliwością i wyrozumiałością dla wieku ojca.

Szlachetność i wdzięczność synowska Asnyka prezentują się tu w sposób najbardziej ujmujący.

Bardzo obfity zbiór korespondencyj przynosi wiele wiadomości o ludziach i rzeczach ówczesnych.

ST. J.

---

[1]) „Korespondencja Adama Asnyka oraz materiały do życiorysu i twórczości poety". Wydał Antoni J. Mikulski. Lwów. Nakładem Towarzystwa Szkoły Ludowej—1938. Osobne odbicie z „Pam. Liter." R. XXXIII (1936) i R. XXXIV (1937). Str. 225.

POWIEŚĆ O PIERWIASTKU[1])

1.

POWIEŚĆ zbudowana bardzo kunsztownie za przedmiot wzięła sobie przekrój teraźniejszości jak „Czarodziejska góra" T. Manna. Ośrodkiem jej głównym to radium, ta najdroższa i najstraszliwsza zarazem substancja świata. Z niezwykłym talentem dramatycznym opisane przez autora perypetie łączące się z wydobywaniem tego pierwiastka z rudy uranowej. Widzimy, jak od momentu odkrycia nowego pierwiastka przez naszą genialną rodaczkę rozpoczyna się przewrót w lecznictwie, w poglądach na istotę choroby a szczególnie raka.

Konstrukcja powieści obejmuje kilka kondygnacyj oraz kilka wątków, ktore w ostateczności dadzą się sprowadzić do pojęcia siły pierwotnej, tkwiącej w duszy ludzkiej. Siła ta każe Marii Skłodowskiej zatapiać myśl badawczą w kierunku, o którym wie, że ją zaprowadzi do odkrycia nowego pierwiastka; siła również każe bankierowi Cynacowi w Brukselli zdobywać pieniądz jako narzędzie władzy. Sile tej ulegają amerykańscy spekulanci radem z Jeroboamem Corwickiem na czele. Rozdziały poświęcone wysiłkom i pełnej zaparcia i poświęcenia pracy Marii Skłodowskiej należą do najlepszych tej znakomitej powieści. Autor pokazuje tu nie tylko geniusz odkrywczy naszej rodaczki, ale jej ludzkość, szlachetność, skromność i prawość. Służy ona tylko nauce i dobru oraz szczęściu ludzkości. Podczas gdy spekulanci walczą nie przebierając w środkach o potęgę, o pieniądz, a przedmiotem tej walki — rad, którego cenę podbijają ustawicznie, ona nie patentuje swego odkrycia i daruje aparat radowy nauce rozpoczynając tym samym radoterapie. Doznajemy niesamowitego wrażenia, gdy czytamy o mocy tego pierwiastka, którego siła wyzwolona stać się może niszczycielską nie tylko leczniczą. Może w wieszczym przeczuciu Słowacki o tym pierwiastku myślał, gdy marzył o prześwietleniu globu... Może stoimy w przededniu nowej cywilizacji, której konstrukcje istotnego wykończenia przewidzieć nie możemy, a której początek dopiero przeżywamy.

2.

Akcja powieści rozgrywa się w Europie, Afryce, Ameryce, w takich ośrodkach jak Richmond, Londyn, Croydon, Bruxella, Antwerpia, Góry Skaliste w Ameryce, wreszcie w kopalniach Konga Belgijskiego. Nadto pola bitwy we Francji (Armentiéres), laboratorium naszej rodaczki w Paryżu, Giełdę w Bruxelli, życie salonów i górników — słowem wszechstronny obraz dzisiejszej rzeczywistości. Bohaterowie tej powieści są jak gdyby opętani przez jakąś ideę, która ich pcha do czynu.

Lekarz Jerzy Purwis odkrywa bacyl raka, a brat jego Francis genialny to przyrodnik. Inni dwaj bracia to Piotr Cynac i Gaston, muzyk, nauczyciel o nowej Atlantydzie. Jego wizje muzyczno-religijne to produkt obłędu. To świat naukowo-lekarski. Obok niego świat bankierów i spekulantów, w Europie i Ameryce.

Trzecia kondygnacja to świat nauki czystej a więc Becquerel i Maria oraz Piotr Curie. Rozpętanej walce spekulantów na całym świecie przeciwstawione zostało najjaśniejsze światło wartości moralnych Marii Skłodowskiej. Ludzkość w jej osobie zdobyła jeszcze jeden organ samowiedzy, jeszcze jeden stopień prowadzący ją do osiągnięcia potęgi, do poznania rzeczywistości. Postęp w świecie i rozwój dopiero wtedy ustanie, gdy ten świat zupełnie dojrzeje,

---

[1]) Rudolf Brunngraber: „Radium". Powieść o pierwiastku. Tłumaczył z niemieckiego Egon Nagnowski. Wydawnictwo Stefana Dippla w Poznaniu. Okładkę projektował Henryk Smółko. Odbito w Rolniczej Drukarni i Księg. Nakł. w Poznaniu (1938). Str. 327 + knlb.

gdy wszelkie możliwości i odmiany się wyczerpią. Dzisiaj daleko jeszcze do szczytowego punktu.

Autor nie zbyt głębokie ma pojęcie o mistyce, skoro mówi że dopiero co ludzkość wyszła z jej gąszczów na próg wyzwolonej myśli. I racjonalistyczne bowiem i mistyczne ujęcie świata z jednakich wypływa źródeł. Tak samo trzeba się przeciwstawić poglądowi, jakoby dzisiaj miał przewagę mechanistyczny pogląd na istotę świata. Wreszcie razi w powieści to, że autor obłąkanemu Gastonowi kazał snuć swe marzenia całkiem religijne.

Interesują nas głębokie rozważania i dociekania przyrodnicze Francisa Purwisa na temat sił elektromagnetycznych np. u ptaków. Nauka stoi przed faktem wypromieniowania energii, przemianą materii w energię. Świat to skala fal, komórka to system elektryczny. Cała rzeczywistość to zawartość energii w pierwiastkach, koncentracja materii — to objawy wysoko-przenikliwych promieni. Próżnie międzyplanetarne okazują się fikcją. Znajduje się tam przecież zbiorniki sił drgających. Interesujące są też rozważania na temat istoty i powstania raka.

3.

Autor wykazuje wielką zdolność w przedstawianiu dramatyaznego napięcia walki o władzę i rad. Widzimy jak dzisiaj realizują się baśni o ukrytych sezamach i skarbach świecących. Rozpętały się ukryte aż dotąd siły, ale rozpętały się i namiętności ludzkie. Obraz i jednych i drugich niezwykle plastyczny, chociaż wizja świata dzisiejszego musi pierwszeństwa ustąpić wizii T. Manna. W każdym razie już choćby hołd złożony Marii Skłodowskiej Curie dobrze nas do powieści usposabia.

Jeśli chodzi o zadzierżgnięcie wątków powieściowych miałbym do zarzucenia dość prymitywny synchronizm. Moment ten jednak nie umniejsza dużych wartości polegających na głębokiem wnikaniu w duszę ludzką.

Oborniki JAN ŚWIERZOWICZ

Z SALI ODCZYTOWEJ

ZAŁOŻENIA IDEOLOGICZNE NACJONALIZMU

W WARSZAWSKIEM Tow. Miłośników Historii wygłosił niedawno p. Jan Strzembosz odczyt poświęcony założeniom ideologicznym nacjonalizmu polskiego.

Tezą główną odczytu było stwierdzenie, że nacjonalizm wymaga poszanowania osobowości narodowej, którą stwarza historia. Indywidualność narodów wypływa z ich historii, która na przestrzeni wieków i pokoleń kształtuje charaktery tych osobowości zbiorowych, którymi są narody. Entuzjazm narodowy, wyzwalający masy energii w pokoleniach żyjących, jest wynikiem apelu do stworzonej przez historię osobowości narodowej. Siła takiego entuzjazmu zdolna jest do wielkich dzieł przez wprowadzenie w tok spraw bieżących sił immanentnych nagromadzonych w ciągu dziejów. Prelegent słusznie wskazał, że na tle międzynarodowem nacjonalizm przedstawia się jako ideologia uwydatniająca indywidualność poszczególnych narodów. Każdy naród ma inną historię i z tego powodu różnią się „nacjonalizmy“ różnych narodów.

Zdaniem p. J. Strzembosza dla kształtowania się osobowości narodu polskiego decydujące znaczenie posiadały wojny niemieckie a później krzyżackie. W walce narodu polskiego o byt, w tej walce, która jednocześnie urabiała nasz charakter i wskazywała na konieczności narodowe chodziło o utrzymanie stanu posiadania w kierunku morza, Bałtyku, i w kierunku czeskim, Sudetów; zasadniczo uwydatniła to polityka króla Bolesława Chrobrego, w której wyprawa na Kijów była raczej incydentem, a główny kierunek wysiłków szedł na Zachód, był walką z niemieckim imperializmem. Jako cechy istotne polskiej osobowości narodowej prelegent podkreślił: 1-o pojęcie państwa jako wspólnego dobra, 2-o zabezpieczenie jednostki przed samowolą rządzących, 3-o katolicyzm i przeświadczenie, że w życiu publicznem obowiązuje taka sama moralność co w życiu moralnem. Opierając się na powyższych założeniach p. J. Strzembosz wskazał, że nacjonalizm polski nie może być adoptowaniem wzorów powstałych w innej kulturze i na gruncie innych doświadczeń historycznych; jak się prelegent wyraził: „nacjonalizm polski musi być realizowaniem generalnej linii historii Narodu Polskiego w czasach obecnych i na miarę dzisiejszych naszych potrzeb“, przyczem „główną siłą nacjonalizmu polskiego jest łączność z historią, wierność historii, ta moc ukryta lecz twórcza, zawarta w poczuciu, że poza żyjącym narodem stoi wielekroć liczniejszy naród umarłych Polaków.“

Sformułowanie doktrynalne wyraził J. Strzembosz w zdaniu: „Nacjonalizm jest zatem wiernością Narodowi, a wierność Narodowi — to wierność jego prawdzie dziejowej“...

Rozpoczynając swój odczyt, prelegent zastrzegł, że chodzi mu o ustalenie podstaw ideologicznych, gdyż u podłoża każdego prawdziwie głębokiego ruchu politycznego znajduje się koncepcja myślowa, która wkracza w dziedzinę filozofii, co właśnie odróżnia ruch polityczny od programu partyjnego.

Cały referat p. Strzembosza został utrzymany w wyżej wskazanych granicach. Pewnego rozwinięcia tematu można było tylko życzyć sobie przy omawianiu nacjonalizmu danego narodu w stosunku do „nacjonalizmów“ innych narodów.

Jest nacjonalizm, jako ruch, nietylko europejski, lecz i światowy. Istnieje podstawa dla „Europy narodowej“, jako wspólnoty cywilizacyjnej i właśnie doktrynalnie nie można ograniczyć pokrewieństwa między nacjonalizmami różnych narodów do tego jedynie, że wszystkie powinny się odwoływać do związku z historią. Ta historia nietylko dzieliła, ale również łączyła, a dzięki temu co łączyło i dotąd łączy wyodrębniają się narody Europy jako reprezentanci zachodniej, na grecko-rzymskim i chrześcijańskim fundamencie opartej cywilizacji, której upadek zagroziłby bytowi każdego narodu.

Dodajmy jeszcze, że może zbyt optymistycznie prelegent zapatruje się na dzieje Polski zaczynając od XVI-go wieku. Słuszne jest twierdzenie, że wina rozbiorów nie może wyłącznie obciążać narodu polskiego, ale dzisiejszy nacjonalizm polski obowiązany do liczenia się z całokształtem dotychczasowych dziejów musi odróżniać dzieło i tendencje całego narodu od epizodów historycznych, od tego co było wyrazem egoizmu jednostek lub warstw społecznych. Odróżnienia tego dokonać wypada unikając jednak racjonalizowania historii narodowej i przystosowywania dziejów do chwili bieżącej.

Z tem zastrzeżeniem należy przyjąć słuszną tezę o konieczności liczenia się z indywidualnością historyczną narodu. Teza ta jest postulatem całkiem praktycznym, w Polsce dzisiejszej głoszenie jej odpowiada naglącej potrzebie dotąd wcale nieuwzględnianej; dowodem tego, że stanowi ona postulat nacjonalizmu jako światopoglądu, jest wyrażenie jej już dawno przez Karola Maurras'a w słowach: „Trzeba iść nietylko z naszym wiekiem, lecz ze wszystkiemi wiekami“.

L. G.

ZE ŚWIATA MUZYKI

SEZON ROZPOCZĄŁ SIĘ

ZALEDWIE rozproszyły się chmury wojenne, zabłysło dawno oczekiwane słońce sztuki. Przerwa letnia jest stanowczo zbyt długą, przez pięć bowiem miesięcy jesteśmy pozbawieni żywej muzyki, której nie zastąpią dość zresztą mizerne programy radiowe. Okazało się, że po wygnaniu większości żydowskich solistów i solistek, Polskie Radio nie umie należycie wykorzystać wybitnych polskich artystów. Z układu programów wynosi się wrażenie, że o kwalifikacjach decyduje raczej Pani Protekcja, niż talent. Grają więc i śpiewają młode siły artystyczne, bardzo często do występów przed mikrofonem nie przygotowane. Słyszy się w muzycznych Kołach Warszawy coraz głośniejsze (i słuszne) narzekania na obniżenie się poziomu programów muzycznych „obu” rozgłośni stołecznych. Cały szereg znanych solistów dla jakichś tajemniczych powodów nie uzyskuje słusznie im należnych występów. Czyżby miało być słuszne, to co przed paru laty powiedziała słynna rosyjska śpiewaczka p. Maksakowa, że w Warszawie najlepsi artyści produkują się po kawiarniach a miernota zalega scenę operową i estradę. Dodajmy tu jeszcze dla ścisłości i „Polskie Radio”.

Zato w dziedzinie muzyki żywej mamy już na wstępie do sezonu możność zanotowania niejednego dobrego koncertu. Jak meteor zjawił się i znikł ulubieniec Warszawy, Robert Casadesus. Takiej gry nie zapomina się jednak prędko. Jedyny występ Casadesus'a w Filharmonii Warszawskiej stał się dla wielbicieli wielkiej sztuki — rewelacją Oba koncerty, zarówno klasyczny Mozart, jak pełen patosu Liszt wypadły w interpretacji Casadesus'a znakomicie. Oczekiwaliśmy, jak corocznie — recitalu pianisty, niestety kontrakt z Niemcami na 16 występów nie pozwolił na usłyszenie raz jeszcze gry tak wyjątkowo pięknej. Dwukrotnie dał się słyszeć Robert Soëtens. Grał na koncercie Towarzystwa Muzyki Dawnej a w kilka dni po tem — w Filharmonii. Nie jest to gra fascynująca techniką ani wielkim rozmachem wirtuozowskim. Soëtens ma piękny ton, dużo poczucia estetyzmu i kulturę rasowego muzyka. Dlatego też bardziej podobały mi się słyszane w T. M. D. utwory muzyki klasycznej, niż koncert Prokofiewa. Zato Walerian Bierdiajew miał swój w pełni udany wieczór. Utwory orkiestrowe świetnie poprowadzone przez znakomitego kapelmistrza wysunęły się na czoło programu. Zwłaszcza wykonanie „Ekstazy” było wręcz rewelacyjne. Bierdiajewa zaliczyć trzeba do najwybitniejszych kapelmistrzów doby obecnej. Bardzo dobrą myśl miał prof. Jerzy Żurawlew powołując do życia niezmiernie potrzebną w naszem życiu muzycznem sekcję pomocy młodym talentom muzycznym. Sekcja ta, pozostająca pod auspicjami T-wa Muzycznego ma na celu „wyprowadzanie na estradę” tych najmłodszych, którym brak odwagi, bądź środków materialnych uniemożliwia rozpoczęcie kariery.

Prof. Żurawlewowi zawdzięczamy już niejeden pomysł organizacyjny, niejedno rozumne posunięcie. Konkursy chopinowskie to pomnikowy pomysł Żurawlewa. Z właściwą sobie skromnością Żurawlew ukrywa swą inicjatywę, daje natomiast dzieło o wielkiej wartości. Przyznaję, że o wielu jego pomysłach nie wiedziałem, odkrył je—przypadek. Uchylmy więc rąbek tych tajemnic. Zdobyto salkę „Y.M.C.A.” przy ulicy Konopnickiej. Tam, w atmosferze bardzo dla artysty przychylnej urządzać będzie Sekcja co dwa tygodnie koncerty młodych muzyków i śpiewaków. Wieczór inauguracyjny zgromadził cały stołeczny świat muzyczny. Wzięła w nim udział orkiestra P. Radio pod wodzą dwu młodych dyrygentów, pianista Z. Grzybowski oraz śpiewaczka p. Nolier-Mazurkiewiczowa, skrzypek Z. Jarzębski. Przed kilku dniami Sekcja urządziła w tejże sali wspólny recital pianistki, p. Kalmanowicz (pamiętamy ją z Konkursu Chopinowskiego), oraz młodej skrzypaczki p. Skomorowskiej. Obydwie artystki cieszyły się wielce zasłużonem powodzeniem. Sekcji Pomocy młodym muzykom i jej dzielnemu inicjatorowi życzyć należy jaknajpiękniejszych rezultatów artystycznych.

W sali Konserwatorium urządziło swój pierwszy koncert dwu młodych śpiewaków pp. Stefani i Naruszewicz. O ile produkcje pierwszego z nich nie nadają się do poważnego traktowania, o tyle Naruszewicz zwrócił naszą uwagę zarówno bogatym materiałem głosowym, jak ładną frazą i czystością intonacji. Z tego basisty miałaby pociechę niewątpliwą Opera stołeczna, gdyby... istniała. Cóż z tego, że na placu Teatralnym wznosi się budynek Opery, kiedy okoliczności wygnały z niego prawdziwą sztukę Moniuszków i Verdich.

Teatr Wielki w obecnym stanie swojego repertuaru jest jeszcze jedną sceną operetkową. W stałym jego zespole brak zupełnie artystów operowych. Zresztą są oni zbędni, bo oper się na placu Teatralnym nie słyszy. Cóż z tego, że „Miłość cygańska” sprowadza tłumy, żądne usłyszenia i zobaczenia głośnej ongiś Messalówny i o wiele mniej głośnego — Wasiela. Że Fedyczkowską „obsadza się“ zgoła niewłaściwie, gdyż jest to artystka *par exellence* dramatyczna a Petecki daje bardzo dobrze pomyślane kreacje charakterystyczne. Teatr Wielki — zapewne nie z własnej winy, nie jest obecnie Operą narodową. To jest smutne, ale tego się nie da zaprzeczyć. Powtarzane od paru lat *bon mot* sowieckiej śpiewaczki Maksakowej jest, niestety, bardzo trafnem podpatrzeniem rzeczywistości. Najlepsze nasze siły operowe bądź śpiewają w kawiarniach, bądź — uciekają za granicę. Gdyby (co nie daj Boże) opera poznańska miała przestać istnieć, Polska stałaby się osobliwością *sui generis*: krajem b e z o p e r y, podobnie jak Grecja jest krajem bez rozgłośni radiowej, a dawny, symboliczny Olimp — jedyną chyba miejscowością na kuli ziemskiej, gdzie sztuki piękne kwitną zdala od intryg i gorszej od nich postokroć—obojętności ludzkiej. Ale Olimp jest tylko—symbolem...

ASPER.

NA MARGINESIE

W kawiarni.

— Cóż tam słychać na świecie?

— Wszystko byłoby—owszem—nawet efektownie, gdyby nie prasa, która ma pasję rozpisywać się o tem, co jest w rzeczywistości.

— Tak samo jest w domu z chorobami. Coraz jakaś gorączka. Ja panie zrobiłem z tem porządek. Potłukłem termometr i teraz jest spokój.

*

Dziwne jest u nas powietrze. Im więcej ozonu, tem duszniej.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.